

Arkady Fiedler. Dziękuję ci kapitanie

Ostatnia nad powierzchnią wody pozostała rufa. Wsiąkała powoli, jakby niechętnie, jakby z żalem. Potem pozostały z niej już tylko dwa szczyty: bandera i armata. Rzekłbyś: dwóch nierozdzielnych towarzyszy. Gdy po chwili armata schodziła, ginęła jeszcze wolniej niż poprzednio rufa: ginęła jak ktoś bliski i drogi, życiu wyrwany przemocą.

W końcu pozostała sama bandera. Plama biało-czerwona sterczała nad wodą dziwnie długo. Marynarze nie mogli oderwać wzroku. Byli wstrząśnięci, ogarnął ich nabożny dreszcz. Kilku przeżegnało się. Zjawisko było aż nazbyt wyraźne: tonący "Bielsk" rzucał pozostałym żywym przejmujący znak swoją i ich banderą, zanim zginął zupełnie.

Niektórzy marynarze mieli wrażenie, że ktoś błogosławił im na dalszą drogę.

(...)

Śmierć jednego z oficerów patrolowca, młodzieńca o szlachetnej, inteligentnej twarzy, szczególnie głęboko wryła się w pamięć ludzi naszego statku. Widzieli, jak dopływał do naszej burty, jak uchwycił spuszczoney trap. Mieli go już nad powierzchnią wody i wyciągali doń pomocne ręce, gdy osłabł w ostatniej chwili.

- I am sorry! - wyszemrał, uśmiechając się do nich łagodnie, jak gdyby przepraszając za zawód, i jeszcze raz powiedziawszy "Przepraszam!" osunął się cicho do wody. Zatonął.

Uśmiech ginącego Brytyjczyka zapanował nad naszą kabiną. Zawile rzeczy ludzkie tłumaczył może prościej i dobitniej, niżby je wyjaśnić mogła obfitość tysięcy słów.

